Rok IV. Kraków, czerwiec 1930. Nr. 10.

ŚWIT

MIESIĘCZNIK UCZENIC PRYWAT. GIMNAZJUM
IM. H. KAPLIŃSKIEJ W KRAKOWIE.

Patrjotyzm Kochanowskiego.

Postać Jana z Czarnolasu ma dla nas wielkie znaczenie, gdyż był on pierwszym prawdziwym artystą poetą, torującym drogę nowej literaturze, literaturze pięknej. Będąc typowym humanistą, rozkochanym w pięknie świata klasycznego, rozumiał jednak, że gdzie dobro ojczyzny tego wymaga, tam poeta powinien śpiewać nietylko „sobie, a muzom“, ale i współbraciom, budząc w nich miłość ojczyzny. Temu obowiązkowi nie sprzeniewierzył się, lecz zaczął pisać utwory poetyckie, tchnące szlachetnym duchem obywatelskim. Wiara, ukochanie ziemi rodzinnej, sława narodu, miłość rodzicielska były przedmiotem jego poetyckich utworów. Jednak najsilniej przemawia do nas uczucie patrjotyczne n. p. w „Satyrze“, „Odprawie posłów greckich“ i „Pieśni o spustoszeniu Podola przez Tatarów“. W poemacie „Satyr“ autor ukryty za niekształtną postacią bożka leśnego Satyra, kara błędy własnego społeczeństwa, które mu widocznie wybornie było znane. Kochanowski był nietylko znakomitym poetą, ale prawdziwym Polakiem; żywo i gorąco kochał ojczyznę, to też ze smutkiem patrzył na szerzące się w Polsce prywatę i nierząd, a widząc, że szlachta głucha na upomnienia i przestrogi mądrych ludzi jakoś nie myśli o poprawie, lękał się i niepokoił o przyszłość swego kraju.

Lekkomyślne trwonienie mienia, naśladowanie obyczajów cudzoziemskich, nierozważne i płoche traktowanie spraw pierwszorzędnego znaczenia, to są błędy, które „Satyr“ wskazuje. Wyrzuca szlachcie, że

zatraciła ducha rycerskiego, jaki zdobił jej przodków, że nie kocha już ojczyzny, skoro zamiast jej bronić przed chciwymi sąsiadami, myśli tylko o gospodarstwie, jako o źródle swych bogactw. Gorżko wymawia Polakom niezgodę religijną i wyrzeka na upadek Akademji Krakowskiej, wskutek obojętności społeczeństwa, które woli „do Włoch, albo do Niemiec słać syny, mając swe szkoły doma“. Wszystkie słabe strony zarówno organizmu społecznego, jak budowy państwowej tutaj wytyka. Prawdziwie obywatelski duch uwidacznia się tu w każdym wierszu; poeta chce słowem swem obudzić uśpionych, otworzyć oczy zaślepionym. Przewidując przyszłość widzi nawet tam niebezpieczeństwa, gdzie ich naówczas oko statysty nie widziało, mówiąc że: „Niemcy pilnie nas strzegą“. Nawet przyszłe najścia Szwedów, które kilkadziesiąt lat później tak srodze zniszczyły ziemie polskie, obejmował swem przeczuciem.

„Satyr‘ ma wielkie znaczenie, nietylko, jako świadectwo patrjotyzmu poety, ale jako pierwsza piękna satyra polska.

Miłość własnej ojczyzny i niepokój o jej przyszłość, a także miłość świata i literatury starożytnej, natchnęły poetę do napisania „Odprawy posłów greckich“. Kochanowski chciał pokażać, że państwo w którem większość rządzi się nie miłością ojczyzny lecz prywatą, musi zginąć. I to właśnie stanowi myśl przewodnią tragedji. A miał tu poeta na widoku swoją własną ojczyznę, w której już za jego życia nie brakło na nieszczęście Parysów, (Zborowscy), a Antenorów było niewielu. Ponieważ wiedział, że w Polsce zanika duch rycerski, więc nie rokował szczęścia ojczyźnie i swój lęk o jej przyszłość wypowiedział przez usta Ulissesa i Kassandry. Iketaon, umiejący rozbudzić uczucia patrjotyczne słuchaczów, aby je wyzyskać na rzecz prywatnej sprawy, jest typem polskiego warchoła sejmowego. Król Pryjam, odkładający wszystko do jutra, przypomina trochę Zygmunta Augusta. Jeszcze bardziej uwydatnia się, iż autor Polskę miał na myśli, gdy rzucimy okiem na scenę, malującą obrady sejmowe. Ów sejm starożytnych, który poeta wprowadza do swego dramatu, burzliwością swych obrad, gdzie „przed hukiem“ nie można mówić, gdzie „marszałkowie laskami w ziemię bijąc wołają: „posłuchajcie panowie“, najzupełniej przypomina ówczesną epokę w Polsce. Przez usta bohaterów starożytnego świata autor przemawia słowem oburzenia na zbytki i prywatę.

Kochanowski, idąc za myślą Batorego, który pragnął energją własną wlać ducha inicjatywy w organizm Rzeczypospolitej, woła w swoim dramacie: „Radźmy też o wojnie, nie wszystko się brońmy“. Wkrótce po odegraniu tragedji Kochanowskiego wobec posłów i senatorów, sejm uchwalił podatek na wojnę z Moskwą. Otóż przez te liczne napomnienia o sprawach polskich, przez uczucie niepokoju o przyszłość ojczyzny, jest „Odprawa posłów greckich“ utworem narodowym, patrjotycznym.

Do celniejszych utworów Kochanowskiego należą Pieśni, w których poeta narzeka na próżniactwo i roztacza swe troski o pomyślność kraju. Pieśni są różnobarwnym obrazem, na ich tle widzimy satyryczne szkice obyczajów, usterek, ostro karconych i pełne wewnętrznej pogody ducha opisy życia wiejskiego, odzwierciedlenie czci Boga, miłości rodzinnej i troski o przyszłość społeczeństwa.

W pieśni: „O spustoszeniu Podola przez Tatarów" autor daje wyrazisty obraz klęsk, spowodowanych ciągłemi najściami Tatarów. Zachęca, aby walczono skuteczniej, ponieważ duch rycerski, który za panowania Stefana Batorego na chwilę jeszcze ocknął się, zdradzał teraz cechy zupełnego upadku. Ta historyczna pieśń odtwarza w zupełności rzeczywisty stan Rzeczypospolitej i brak dostatecznej obrony, u jej wschodnio-południowych granic, oraz świadczy, że poeta przeczuwał nieszczęścia, grożące ojczyźnie. Nie zapomina nigdy Kochanowski, że równość braterska leży w podwalinach urządzeń państwowych. W pieśniach spotykamy mnóstwo wzniosłych myśl', rad, napomnień, wskazówek. Poeta, jak w innych utworach, zajęty stosunkami własnego kraju nieustannie ma na myśli ówczesne jego położenie. Wskazuje on obowiązki człowieka, jako obywatela kraju i zachęca do obrony granic, którym grożą niebezpieczeństwa. Kochanowski czuje żal, wstyd, gniew na widok tej: „szkody nienagrodzonej i tej sromoty", że nieprzemożny jakiś nieprzyjaciel, ale dzika horda, „zbójce nas wojują", którym porządne państwo oprzećby się przecież powinno. I jest bardzo mądra uwaga polityczna, kiedy pyta: „jakiego serca Turkowi dodamy, jeśli tak lekkim ludziom nie zdołamy i kiedy, wskazując dowód tego złego, porównywa Polskę do stada owiec, które nie mają pasterza, ani ostrożnych i czujnych psów. To ostatnie, to aluzja do braku gotowości wojennej, braku wojskowej i skarbowej administracji, a zapewne do senatorów, do ministrów, do hetmanów, którzy czujnymi psami tej owczarni być nie umieją. Poeta zrozumiał to, czego nikt w pokoju ani wojnie nie zrozumiał, że dla dobra ojczyzny należy poświęcić wszystko.

Kochanowski nie pierwszy niepokoił się o przyszłość ojczyzny; bał się o nią Modrzewski, Rej, Orzechowski. Kochanowskiemu trzeba jednak przyznać, że najlepiej zrozumiał niebezpieczeństwa, kiedy przestrzegał przed niezgodą, bo wiedział, że ta doprowadzi Polskę do upadku. Jan z Czarnolasu spełnił wielkie zadanie, nawołując naród do poprawy przed zagrażającą klęską. Dał dowód gorącego patrjotyzmu i gdyby ówcześni zrozumieli tendencje jego dzieł i szlachetne myśli, nie przyszłoby może do tych nieszczęść, jakie nawiedziły Polskę przez długie wieki. Te zalety czynią Kochanowskiego chwałą Polski i chlubą swej epoki.

L. Kramarzyńska i J. Piasecka. kl. VI.

Sobótka w Czarnym lesie.

Gaśnie słońce na zachodzie, zapada za ciemną ścianę lasu. Tylko przejrzysta woda potoku odbija jeszcze ostatnie odblaski niebios. Powoli świat zasnuwa się mrokiem. Ziemia zdaje się zasypiać. Cicho stoi bór, niby w zadumie głębokiej pogrążony. O, jakże błogi ten czerwcowy wieczór po skwarnym, znojnym dniu. Spokojem tchnie gęsta, czarna puszcza Opary nocne, mgiełki powiewne, przejrzyste, zwolna się podnoszą i zasnuwają góry. Na coraz głębiej ciemniejącym niebie zapalają się gwiazdy i rozjarzają coraz mocniej drżącym, migotliwym blaskiem. Ciszę zamąca tylko szum potoku i hukanie puhaczy. Niby roje iskier unoszą się w powietrzu świetliki.

„W wieńcu z gwiazd, w płaszczu z chmur, cicha noc schodzi z gór".

Niezwykła to noc—świętojańska noc czarów i dziwów, jedyna w roku. Tej nocy zakwita cudowny kwiat paproci, złotą koroną rozbłyska w mrokach leśnych. Spełni on wszystkie życzenia temu, co go znajdzie Najkrótsza w roku noc.. Oto dobroczynne słońce doszło do szczytu swojej potęgi i chwały, zwyciężyło ciemności i triumfuje. O czarodziejska nocy! O święta nocy! Czcili cię przodkowie nasi w zamierzchłych czasach, po lasach i górach, rozniecając ogniska—symbol zwycięskiego słońca Sławili cię muzyką i pieśnią, weselem i tańcem dokoła płonących do rana stosów.

Wierni odwiecznej tradycji zostali mieszkańcy Czarnolasu. Zachowując rząd ojcowski, obchodzą dzisiejszej nocy prastarym obyczajem święto sobótki. Rozległa polana rozbrzmiewa gwarem. Dzielna młódź zwinnie i sprawnie wysoki stos układa. Dźwigają pnie ściętych jodeł i sosen, znoszą naręcza chróstu; rośnie ku górze stos okazały. Inne pomniejsze rozkładają dokoła Już przyłożyli płonącą głownię do paliwa. Buchnął w górę jasny słup ognia; oto wyrzuca już wstęgi płomieni i gęste smugi ciemnego, to znów siwego dymu. Radosnym okrzykiem wita gromada pierwsze blaski ognia. Zagrały dudy, gęśle i fujarki, donośnym głosem rozbrzmiała muzyka i obudziła echa w śpiącym lesie.

Po jednej stronie ognisk popod leśną ścianę zasiadła na murawie spora rzesza. Pośrodku państwo ze dworu w gronie miłych gości: panowie w strojach polskich i przy szabli, damy w powłóczystych szatach, dalej dorodne dziewoje, niby bukiet barwnego kwiecia, i zastęp dziarskiej młodzieży. Nieco na uboczu skupił się w gromadkach lud wiejski; jeszcze dalej, przy wozach z przekąskami i napojami krzątała się służba.

Lecz oto muzyka zagrała dźwięczną przygrywkę, niby hasło, poczem przeszła w melodję przeciągłą, rozlewną, uroczystą a prostą, budzącą wspomnienie czegoś dalekiego, a tak drogiego sercu, swojskiego. Radosna i tęskna zarazem, dziwna, do głębi wzruszająca melodja owładnęła duszami słuchaczów. Poddali się jej osobliwemu czarowi, zamilkli w głębokiem skupieniu.

Wtem wynurzył się z mroku orszak dziewic w bieli i wieńcach z kwiecia. Płynąc jakby tanecznym korowodem, otoczyły największe ognisko i w takt muzyki rozpoczęły powolny, a wdzięczny pląs.

Smukłe i wiotkie, lekkiemi ruchy sunęły, rytmicznie przeginając swe gibkie postacie, wznosząc ręce ku górze, to znowu pochylając się, niby w pokłonie. W migotliwym blasku płomieni, na ciemnem tle boru, wyglądały zjawiskowo: nito czcicielki i strażniczki świętego ognia, kapłanki słonecznego boga, czarodziejstwem chwili i muzyki zamarłej przeszłości wydarte, objawione; nito boginki jakieś leśne, blaskiem ognisk, sypiących snopy złotych iskier z tajemnych głębin boru przywabione; nito duchy jakieś z zaświatów, które z objawieniem czegoś wielkiego, a świętego na tę ziemię zstąpiły; nito mary uludne, zmysły mamiące. W zmiennej grze świateł i cieni ów tan sprawiał przedziwne wrażenie. Twarze dziewic poważne i słodkie, jaśniały niby pogoda letniego dnia Stopy ich lekkie i kształtne zaledwie dotykały ziemi, tak że postacie zdawały się płynąć, gdy splatały i rozplatały taneczne koło. Wreszcie cicho znikły pośród drzew, niby ginące w mroku cienie. Oczarowane zgromadzenie trwało przez chwilę w niemym zachwycie; Poczem zerwały się głośne okrzyki i oklaski.

Teraz wystąpiła młodzież płci obojej; dziewczęta z ludu w krasnych strojach i dziarscy parobcy. Stanęli kołem i zawiedli pieśń obrzędową, przez dziadów młodym przekazaną. Po każdej zwrotce następowały przeciągłe okrzyki, budzące rozgłośne echa. Pieśni towarzyszył zbiorowy taniec. Potem występowali pojedynczo: panny bądź chłopcy, każde ze swą piosenką rozmaitej treści jednak przeważnie wesołej i pogodnej natury. Wzbierała radość i ochota, niby rzeka na wiosnę; zabawa stała się ogólną, połączona z biesiadą. Zaczęły krążyć kielichy służba roznosiła misy i talerze z jadłem. Potężny gwar wykrzyków, rozmów i śmiechu napełniał polanę i roznosił się daleko po lesie. Muzyka grała coraz żwawiej i skoczniej. Znać było, że zebrani całem sercem oddają się zabawie.

Rad niezmiernie poglądał na wszystko ten, który tu panem był i gospodarzem, cichy i skromny, serdeczny, a pełen prostoty poeta czarnolaski. Ta noc przedziwna, ta zabawa, tak pełna swojskiego uroku, rozmarzała go i wprowadzała go w stan jakby ekstazy. Płonący nieustannie ogień ciągnął jego wzrok i wyobraźnię.

Święty ogniu—dumał—ileż w sobie mocy i żaru, czystości i piękna! Niszczysz i palisz, ale też źródłem jesteś życia i wszelkiej twórczości, jako cudowne, przepotężne słońce.

Ojcowie nasi cześć boską oddali, bo w istocie, czyż nie jest ono obrazem boskiej mądrości jaśniejącej miłości?. Na cokolwiek padną jego żywodajne promienie, złotem i świetnością to oblekają. A nasza dusza czyż nie jest jakby ogniem płonącym, od Boga danym człowiekowi, by tworzył dobro i pałał miłością ku wszystkim, ludziom współbraciom, ku wszelkiemu żywemu tworowi, ku wszystkim dziełom rąk Bożych. Przez zjednoczenie serc narodu tworzy się znicz wspaniały, wieczny, nieustannie zasilamy ogniem miłości ofiarnych serc.

I on, skromny i cichy poeta z Czarnolasu wierzy, że do znicza narodowej chwały dorzuci garść promieni o trwałym, nieprzemijającym blasku.

Wzniósł wzrok ku niebu, gdzie jaśniały rozsiane we wszechświecie słońca, niby drobne, świecące pyłki. Czuł się małym wobec wielkości Boga, ale mimo to szczęśliwym i głęboko spokojnym. O, jakże błogą chwilę przeżył! Za lata pracy i trudów, trosk i przeciwności, nagrodzi człowieka taka chwila, jaką podczas obchodu sobótkowego dał Pan Bóg Kochanowskiemu, myślą zatopionemu w niebie.

Czubryńska kl. VII.

O świcie.

(Z czerwcowych wycieczek).

O świtu porze — wdal ku słońcu
Wpatrzone w jasną czerwień zórz
Idziemy cicho zamyślone
Miedzą — pomiędzy łany zbóż.

Wąziutki pas szmaragdu ścieżki
Miękkim kobiercem legł u nóg
I wiedzie nas ku dziwnym blaskom
Szlakiem nieznanych jeszcze dróg.

Olbrzymie pole w słońcu chyli
Swój złoto-żółty, ciężki kłos
W jakiemś radosnem zadumaniu...
Ktoś się za nami śmieje w głos.

Ktoś cicho stąpa w nasze ślady
W ten rozjaśniony cudny dzień,
A w wielkie trawy między kwiaty
Ściele się długi, jasny cień.

Żyto się ku nam z szumem kłoni
Jakiś zdaleka płynie gwar...
Ponad polami, ponad łąką
Unosi się przedziwny czar.

Tak jest radośnie dookoła,
Taki beztroski dziwnie czas,
Że wziąwszy razem się za ręce
Jak dwoje dzieci biegniem wraz.

Jak dwoje dzieci między łany
Biegniemy ile w piersiach tchu...
Coś nas jakgdyby gna bez końca,
„Coś“ — tylko co zbudzone z snu!...

Serduszko 1928

Wycieczka do Częstochowy.

(Dokończenie.)

Po powrocie z wieży, w malowniczem miejscu pod drzewami rozłożyłyśmy nasz tabor.

Jadłyśmy, leżałyśmy pod słoneczkiem,
(Jedna nawet przykryła nos listeczkiem,
Lecz nie mogę wam wyznać jej imienia,
Gdyżbym nie uzyskała nigdy przebaczenia)
Jak widzicie moja poetycka swada
Choć ze względu na naukę nieco blada—
Odżyła na nowo w tej miejscowości,

Znanej z wielkich poetów znamiennej twór-
[czości.
Nabrałam jeszcze większego w wierszach
[poloru,
I jak mówią me koleżanki (w chwilach hu-
[moru)
Że będę sławną poetką na świecie,
(To zaznaczą w mym życiorysie przecie,
Co i każda z Was zaznać gotowa),
Jak wpłynełą na nie wiersze Częstochowa!

Po odpoczynku popędziłyśmy do skarbca. Tam, to było się czem zachwycać! Cudowne ornaty haftowane perłami, puhary kryształowe, naszyjniki, pierścienie, buławy, miecze i td. Ze szczególnem wzruszeniem oglądaałm wielkie, okrągłe kule szwedzkie, oraz stary, dość podskubany buńczuk. Wzruszenie moje wzrosło, gdy ksiądz, który nas oprowadzał, ofiarował nam obrazki M. B. Częstochowskiej i życzył szczęśliwej matury!

Z miasta na stację pojechałyśmy autobusem, w którym było ciasno, duszno ale wesoło. Szofer był zdaje się w pewnym rozstroju duchowym, gdyż autobus chwiał się w obie strony, jakby się nie mógł namyśleć, w którą ma się wywrócić. W końcu jednak zdecydował się widocznie poczekać, aż tak szanowne osoby jak my opuścimy jego wnętrze.

Droga powrotna minęła tak szybko, że ani spostrzegłyśmy się, jak stanęłyśmy w naszym poczciwym, starym Krakowie.

Przeszła miła ostatnia wycieczka szkolna.

Wyniosłyśmy z niej szczerą ufność do Matki Boskiej, że nas w opresjach maturycznych nie opuści, oraz gorącą wdzięczność za obrazki, które znalazłyśmy na naszych ławkach przy pisemnej maturze. Te ostatnie, tak miłe szkolne wspomnienia zachowamy na całe życie!

K. Niedźwiedzka kl. VIII.

Krajobraz polski.

Jak jest piękne nasze morze,
Jak poważne zamków mury,
Jak się jasno palą zorze
Ponad cudne nasze góry!

A te nasze puszcze, lasy,
A te łąki szmaragdowe,
A te rzeki pełne krasy,
I to niebo lazurowe.

A odgłosy z naszych pól!
A jesienią smutne rżyska!
A ten żabi zgodny chór!
A to słońce co połyska!

Nasze łany pełne zboża,
Co tak szumią niby gaj,
I te jasne pól przestworza
Toż to przecie istny raj!

Krzysia Lewicka kl. II.

Po powrocie z nad Morskiego Oka.

W cudny majowy poranek stwierdziłyśmy głęboką słuszność naszej młodziutkiej koleżanki, która w swym miłym wierszyku opiewa piękno polskiego krajobrazu. „Istnym rajem" wydała się nam droga, wijąca się wśród łanów zboża i lasów od starego Krakowa po śnieżne szczyty Tatr, droga po której mknęły nasze auta.

Wyjazd: trochę pisku, zamięszania, zazdrosne westchnienia pozostałych pensjonarek (jedynych świadków naszego szczęścia) wreszcie... donośnie brzmią w ciszy poranku syreny autobusów, donośnie biją serca uczestniczek wycieczki. W Nowym Targu korzystamy z postoju, by zrobić zdjęcia i obejrzeć targ (był to piątek). Wszystko tu inne i wszystko ma dla nas nieprzeparty urok.

W miarę pochłaniania kilometrów, nastrój staje się coraz weselszy. Rozpoczyna się raid, zakończony... pęknięciem opony i wędrówką na piechotę „właścicielek" jednego z autobusów.

W godzinkę potem wszystkie gwary milkną. W głębokiem skupieniu patrzymy na ciemne turnie, wznoszące się dokoła cichej, gładkiej powierzchni „Morskiego Oka". Woda mieni się cudownemi barwami szafirów, to szmaragdów, srebrząc się przy brzegach jasnemi plamami kamieni. Jezioro zda się chłonąć wszystkie blaski błękitów, rozpiętych nad szczytami, wszystkie cienie granitów i kosodrzewin,

przeglądających się w wodzie. Poprzez lekkie mgły przezierają proste, gładkie ściany Rysów, przecięte wstęgami wodospadów, i poszarpane zbocza Mięguszowieckich turni. Zdawało się nam, że nad ten obraz nie może być nic piękniejszego, a przecież Czarny Staw, w dużej części zamarzły, na tle dzikich skał pozbawionych roślinności, wywarł na nas, przez swą posępną grozę, jeszcze silniejsze wrażenie. W powrotnej drodze śledziłyśmy grę świateł na M. Oku. Jezioro przedtem szmaragdowe, błyszczało na pożegnanie granatową powierzchnią, którą rozcinały srebrnemi kołami pluskające pstrągi.

Odpoczynek na Łysej Polanie miał na celu nietylko pokrzepienie sił prozaicznemi zapasami, ale i rozprostowanie języczków dziewczynek, które tak bardzo długo trwały w niemej kontemplacji!

Na widok cudownego krajobrazu tatrzańskiego w dolinie Kościeliskiej, która była celem naszej dalszej wyprawy, znowu żywiej zabiły serca dziewczynek, lecz równocześnie ogarnęła nas żałość na myśl, że tak rozkoszny, czarowny dzień ma się już ku końcowi. I tu pomogły nam poczciwe auta. Coś tam trzasnęło, coś się zepsuło i — ani rusz dalej. Dzięki temu spędziłyśmy jeszcze kilka uroczych, „darowanych" chwil, chłonąc czar majowej, gwieździstej nocy i raz jeszcze przeżywając cudowne wrażenia, jakich każdy doznać musi na widok naszych potężnych, dostojnych Tatr!

J. Kwiecińska VII. K. Stadnicka VI

On... gazda.

(Dokończenie.)

A „On" z pomrukiem rozwalał się po wysłanej mchem pieczarze, wgłębieniu turni, osłonięty zielenią drobnych gałązek sadzonki. Szła wieść o „NIM" coraz szerzej......dalej,.... bali się „GO" wokół. Leżał „TEN", co siał zniszczenie i grozę, nikt mu się dotąd nie oparł. Kiedy przychodził czas wichrów, deszczu, słoty, ginął gdzieś w dzikich przestrzeniach turni, gdzieś wśród wykrotów obierał siedlisko i... tam swem czujnem okiem warował, tam lizał często swe rany, często je musiał utykać barłogiem—wylizał się.

Szedł znowu w stronę zagród juhasów, znów niszczył wszystko, targał i chciwie nurzał swój pysk w oparach wnętrzności owiec—krów, a czasem i....ludzi, poszarpanych ostremi jego pazurami. Po sobie zo-

stawiał dużo sierści na pobojowisku. Oszczekiwany trwożliwie przez psy, uchodził przed zjawiającą się zazwyczaj głownią, rzuconą często za nim, uchodził przystając co chwilę, wznosił swe brunatne cielsko w górę i.....walił łapą potężną nacierające, śmielsze od swych towarzyszy, owczary.

Przechodził hale wzdłuż, wędrował nocą—woń ludzi, owiec, szałasów wskazywała mu drogę. Jeśli głód mu dokuczał, skradał się do najbliższych szałasów, podchodząc pod wiatr, mimo to trzask gałęzi pod łapami dawał zawczasu znać o jego obecności. Wyłamywał żerdzie koszaru, rzucał się w zbitą masę przerażonych owiec-ubijał łapskiem jedną z nich i jeżeli się dało unosił z sobą. Znowu spokojny, leniwy, kładł się w swojej jamie.

Dziś głód mu doskwierał, z rozjątrzoną łapą wydartą na przełazie pod Miętusią, leżał tu długo bez ruchu i jadła; raz jeden sarna przemknęła koło niego, często dochodził go pisk żarłoczny, samotny jatrzębia, pisk groźny dla wijących się wokół legowiska ptaków.

Głód stawał się gorszy od bólu. O zmierzchu próbował powstać; wyszedł opierając się ledwo—ledwo na zdrętwiałej, obolałej nodze, coraz śmielej dotykał nią ziemi. Ból za każdym krokiem zdawał się zmniejszać, lecz nie ustąpił. Kulejąc powlekł się ku najbliższym szałasom. Otwarła się polana—przystanął. Wiatr wiał od niego, nic nie czuł, ale zato—został poczuty, jak to poznał po zażartem ujadaniu psa owczarza.

—Wiys Wojtek—rzekł Franek—tak mi cosi nie daje pokoju całuckie pół dnia, końcem mi się widzi, że ino psydzie....

Jee.. psydzie psydzie!— burknął Wojtek myśląc o zbliżającej się znowu nocy wartowania, zrywania od watry, nastawiania ucha.

—Już dwa tyźnie tak psychodzi,—dwa tyźnie nie śpij, ba cekaj, bo sie tobie ubazyło zabić go. Nie myśli se chłopce, nie tacy byli, a nic mu nie zrobieli....duzo mu haw dopukos tom ciupagom-haj-kiebyś choć flincisko mioł takie jak nie przymierzając Leńko z Gładkiej, co jak wymierzo, pociągnie kie łupnie!!.. bacem raz w Smutnej.... pilnowalimy w źlebie: przysel rogac. Leńko miezom.. miezom, jo cekom.

Scelul, ale padom ci nie scelul, ba....zągrzmioł!!-haj—myślałek ze mu flincisko do imentu ozniesło. Mnie ocy zawarło....otwierom....pacę....a Leńko z pod wykrota wyłazą, ani za rogacem nie pacy, ba sie psyziera swojej pukawce i nie moze sie wydziwić, co co sie to stało. Wygramolul sie pomału i pado: Wiys Wojtek, kiepskok sie zapar nogami—cisła mnie. Ze go cisła, to mi jus nie musioł godać, bok przecie widzioł, jak prasło—ale rogaca zabieł;....cy go kulom trefieł, to

ci nie wiem pedzieć, bo mnie sie ino końcem widzi, ze on ze strachu zdech, kie tyn huk usłysoł....No, ale kiebyś wej hoć takom mioł, no tobyk ci jus nic nie pedział, mógłbyś sie jus na niego porwać, ale tak?....Spijże chłopce przywiń cuchom głowe, bo to nie spasy!— i tu wyciągnął Wojtek nogi w stronę watry, położył się na boku, okrył cuchą plecy, dając tem poznać, że nie ma ochoty gawędzić dalej.

Franek pomyślał chwilę..—Wojtuś, wiys ze musem—rzekł—bok przysiąg; choćby mie mioł na pazdórach oznieść, nie dbom, jo—abo ón! —Jak ci sie nie fce tu pilnować to idź, ale jo ostanem,! ostanem dodał z zacięciem.

Widząc że Wojtek milczy, porwał ciupagę, kopnął wrota nogą i wyszedł na polanę; tu owiał go chłód iście górski. Poszedł w stronę psa, który dziwnie niespokojnie skomląc, przytulił się do Franka nie przestając zarazem wietrzyć nosem pod wiatr....

—Coś ty cujes piesku, co?—Zostałeś mi ino ty.. nie dajże sie mi i ty potargać.. no nie sarp sie cicho, ze cicho.... lepiej jak nie bedzie wiedzioł, ze nos budzis—mówiąc to Franek odpinał, szamocząc się, rzemień od szyi psa, który zdawało się, że z sobą go porwie, tak ujadał i rzucał się w stronę boru.

Franek kurczowo jedną ręką trzymał wyrywającego się psa na rozpiętym już rzemieniu, drugą ścisnął ciupagę, wparł nogi w ziemię i.... czekał. Czekał nie długo, mimo szczekania psa usłyszał a raczej wyczuł nierówne głuche dudnienie ziemi jakby stękała pod nadchodzącym ciężarem.

Owce goniąc z kąta w kąt w trwodze przed niewidzianym jeszcze, a już dobrze znanym, zbiły się w rogu ogrodzenia, aż żerdź pod naporem stada trzasła i z turkotem przeraźliwym zginęły poza szałasem.

Wojtek dopiero teraz wyskoczył—cosi to nie dobrze sie robi— mówił chwytając płonącą szczapę z ogniska. Wyskoczył na polanę i.... zatrząsł się ze zgrozy, cofnął się aż w tył potem jak ławica rzucony siłą naprzód, wyrzucił tylko:—Franuś!!. Wszystko w tem słowie zawarł: grozę, przywiązanie, braterstwo i straszną obawę o towarzysza. W tym samym momencie usłyszał głuchy łoskot—uderzenie stłumione rykiem, który swą siłą zdawał się odrzucać wszystko od siebie, wypełnił dolinę po brzegi turń i.... poszedł ich wierzchołkami dalej, budząc grozę i dreszcze w przebudzonych:.... ryk króla Tatr..

Odskoczył skulony owczar szarpiący grzbiet i nogi potwora, odskoczył usuwając się przed ogromem cielska, które z tem większą, zajadłością rzuciło się znowu naprzód. Ale Franek nie był

już sam, Wojtek stał koło niego śledząc ruchy i błyszczące ślepia. Dyszał włożywszy cały zapas sił w ten jeden cios—dyszał pobudzając w sobie gniew i zaciekłość zdziwiony, że mógł ktoś takie uderzenie wytrzymać i przeżyć. Sam z ogniem, nie wrażliwy na nic z jedną myślą;—bić między oczy!—

Zawisł nad nim jak burza, zdawał się być karłem, którego olbrzym chce wziąć w swe ramiona—przytulić do siebie—i.... ściskać.. ściskać do trzasku kości—ścisnąć na śmierć.—Nim jednak potworne grube, włochate ramię miało czas opaść, podniosła się błyskawicznie, oburącz trzymana ciupaga,—szybszy niż myśl ruch smukłych, zwinnych ramion, ale i ramię potwora wykonało zamierzony ruch —ruch pochwycenia ofiary, i opadło przygniatając swym ciężarem ciało Franka, orząc je pazurami, niczem sękami padającego drzewa. Nie upadł jednak,—nowy głuchy stuk—urwany krótki ryk wepchnięty w gardło ciupagą Franka.—Wojtek poprawił, znowu Franek, i tak na przemian miażdżyli głowę o oczach zaszłych krwią. Pies dalej bezsilnie szarpał, wyrywając li tylko sierść z grzbietu, wstrząsanego uderzaniem ciupag—Franek! dość!—rzekł Wojtek nabierając tchu i gotując się do nowego ciosu, gdyby wróg się poruszył Franek jednak oślepły bił i bił—złość swą tu wylewał, za każdem uderzeniem powtarzając:—No naści!—aż Wojtek oderwał go siłą, ze słowami:—Nie byjdze głupi Franek, bo ón psecie tego nie cuje—Odwlekł go parę kroków od ciemnej, wśród nocy wypukłej masy ———

Tak skończył „ON“, ostatni gazda halny—nad trupem żałośnie, smutno, przerywając nocną ciszę, skowyczał pies owczarz.

F. Pawłowska kl. VIII.

Kilka słów o tulipanach i hiacyntach.

Zanim łąki i ogrody nasze pokryją się całą gamą przepysznych barw, rozjaśniamy mieszkania kwiatami doniczkowemi, z pośród których najbardziej dekoracyjne są tulipany i hiacynty, darzące nas ponadto pięknym zapachem. Hodowlą tych miłych kwiatów zajmuje się przedewszystkiem opiekunka i pionierka ogrodnictwa — Holandja.

Państwo to, już z początkiem XVII. w., zawiązało stosunki handlowe z Indjami i archipelagiem sundajskim i utworzyło monopol na przyprawy takie jak: pieprz, goździki, gałka muszkatułowa i in. Pozatem Holendrzy założyli na wyspie Jawie plantacje drzew chinowych, które po 16 latach prób zaczęły się opłacać, tak, że dziś pokrywają 90% zapotrzebowania tego niezbędnego lekarstwa przeciw malarji jaką jest chinina. Holandja posiada również największe na świecie pola uprawy kminku.

Przedewszystkiem jednak Holendrzy doprowadzili do doskonałości hodowlę hiacyntów i tulipanów i zaopatrują cały świat w cebulki tych kwiatów.

Już w średniowieczu tulipan był ulubionym kwiatem Persów. Do Europy przywiózł go w r. 1559 p. Bussbek, poseł niemiecki w Konstantynopolu. W parę lat potem stał się tulipan w Niemczech modny i poszukiwany. Holendrzy, ludzie praktyczni, zainteresowali się hodowlą tych kwiatów i doprowadzili wkrótce do świetnych rezultatów. Zwłaszcza nowe odmiany kupowane były na wagę złota. Za jedną cebulkę odmiany „Semper Augustus' płacono 13.000 guldenów, a za cebulkę „Vice-roi" otrzymał szczęśliwy hodowca 24 ćwierci pszenicy, 48 ćwierci żyta, 4 woły, 8 wieprzów, 12 owiec, 2 beczki wina, 4 piwa, 2 pudy masła, 4 sera i srebrny kubek. Szał tulipanowy ogarnia nietylko całą ludność holenderską, ale i mieszkańców flamandzkiej części Belgji, a zwłaszcza okolice miasta Brügge. Hodowano tek wiaty w skrzynkach, miskach, doniczkach, a wreszcie zaczęto wydawać rewersy na mające się zjawić nowości. Podobno w XVII w. było w Holandji około 10 miljonów takich akcyj, tak iż rząd musiał wydać zakaz wystawiania tych rewersów. Hazard ustał, ale zamiłowanie do hodowli tulipanów pozostało. W kronikach miasta Harlemu czytamy taki opis uroczystości z powodu wyhodowania t. zw. czarnego tulipana: na czele pochodu szedł prezes Tow. ogrodniczego, dalej Towarzystwa naukowe, Rada miejska, przedstawiciele władz cywilnych i wojskowych, czterech członków honorowych, którzy na bogato przyozdobionych noszach nieśli wazę z czarnemi tulipanami. Na końcu kroczył szczęśliwy właściciel, za którym niesiono 100.000 guldenów, dar miasta. Na placu przed Ratuszem 12 dziewic harlemskich przeniosło wazę na estradę obok tronu księcia Orańskiego. Ten, po przemowie, wręczył właścicielowi dyplom uznania i... drugie 100.000 guldenów. Uroczysty ten dzień zakończyły zabawy i festyny.

Charakterystyczną pamiątką owej „tulipomanji" jest tablica kamienna. której napis głosi, że w r. 1634 za trzy cebulki tulipanowe kupiono 2 kamienice.

Drugą manją Holendrów stała się hodowla hiacyntów, pochodzących z Azji a znanych w grecji jako kwiat Apollina. W Europie zachodniej zjawiają się one w XVII w. a do Holandji dostały się w oryginalny sposób. U wybrzeży Morza Północnego rozbił się okręt, w którym pomiędzy innemi rzeczami była skrzynka z cebulkami hiacyntów. Cebulki te, przyniesione na brzeg przez morze, wyrosły i zakwitły. Zainteresowali się niemi Holendrzy i rozpoczęli hodowlę, doprowadzając ceny cebulek do sumy 20.000 guldenów za jedną. Pozatem hoduje Holandja kosaćce, krokusy, mieczyki, narcyzy i inne kwiatowe byliny przeważnie w północnej części kraju (Harlem i Hillegom).

Namiętna moda tulipanów i hiacyntów minęła, pozostała jednak umiejętność hodowli i dziś Holandja wywozi miljony cebulek, za które otrzymuje dziesiątki miljonów guldenów.

Niezaprzeczonym urokiem Holandji są prześliczne pola hiacyntowe, pokrywające się z wiosną barwnym i wonnym kwieciem.

Krzysia Kornecka kl. V.
(według „Przyrody i Techniki").

Kronika.

I co ma począć biedny kronikarz? Miejsca mu w „Świcie" zostawiono bardzo mało, zdarzeń było ogromnie wiele, a na dobitkę zły los zesłał na kronikarza chorobę, tak bardzo w Krakowie rozpowszechnioną, a tak niepoetyczną noszącą nazwę! Proszę więc wybaczyć jeżeli nie wszystko będzie w. porządku.

Skoro tylko z tak pysznym wynikiem zakończyła się matura szkoła odetchnęła z ulgą i rozpoczęto dawno oczekiwane wycieczki. A więc na Kopiec, i na Krzemionki i do puszczy Niepołomickiej, i do Czerny.. Wprawdzie niektóre z nich były wycieczkami naukowemi, lecz rozumiecie... nie samą wiedzą żyć może „człowiek" z kl. I. czy II.! To też od czasu do czasu nasi mistrze pozwalają puścić w ruch piłkę i nie gniewają się o tak dowcipne odpowiedzi, jak np. „W którym końcu rowu chrzanowsko-krakowskiego stoimy teraz?" „W drugim..."

Wycieczka do Czerny była zato jedną wielką chwilą radości. Żadnych pytań, żadnych sprawozdań tylko brodzenie po wodzie, pogoń za storczykami, czy konwaljami, stare, a tak zawsze nowe zabawy na łące, przedzieranie się przez gęstwiny leśne, a wreszcie o różowozłotym zachodzie wielkie ognisko, strzelające tysiącem iskier i tęskna piosenka „Czas do domu, czas". A przedtem jeszcze nieodzowna przygoda, bez której żadna wycieczka nie byłaby wycieczką: a na bardzo poetycznej, lecz bardzo skalistej ścieżce spostrzegamy małą postać w pozycji posągu rozpaczy; obok w pyle płaszcz i zgniecione zapasy... W mgnieniu oka inwalida został zniesiony na łączkę, kolana zajodynowane i obandażowane oraz smakowite ciastko wepchnięte w małą piąstkę. I pomyślcie sobie! ten tak niewykorzystany w medycynie środek okazał się cudowny! W chwilę potem bandaż suszył się na drzewie, „ranna" Mucha wyprawiała dzikie skoki, a do „Stacji opatrunkowej" zgłaszały się dziewczynki z zapytaniem: ile też ciastek otrzyma się za porządne stłuczenie ręki lub rozbicie głowy? Nie wiem jaka była odpowiedź. Fakt, że więcej wypadków nie było.

Wszelakie inne zdarzenia, nie będące tak jak wycieczki przedsmakiem wielkich dla nas dni,. bledną wobec tego potężnego słowa: wakacje! Zostawiam więc ich opis na wrzesień, a dzisiejszą kronikę pragnęłabym zakończyć hymnem na cześć tej dwumiesięcznej ery swobody i wolności, lecz nie potrafię... więc dośpiewajcie sobie w duszy

X+Y Z. et Comp

Nagrody za dobre rozwiązanie zagadek w „Świcie"

Nemetschke Jadwiga kl. III. (z 8 numerów), Lewicka K. kl. II. (z 7 numerów).

Rozstrzygnięcie konkursu Znajomości Krakowa.

(rozwiązanie podane będzie w numerze wrześniowym).

Nadesłano 70 odpowiedzi. Nagrodzone zostały: Karasiówna A. kl. III. (13 dobrych odpowiedzi), Nemetschke J. kl. III. (12 dobrych odp.)

Złote myśli.

Człowiek nie może żyć tylko dla siebie — nie wolno mu tego pod grozą własnego nieszczęścia.

Reymont.

Człowiek płomieniem myśli, iskrami słów toruje sobie drogę do celu swego, ale do tego celu dochodzi tylko i wydoskonala się, milczeniem i czynem.

Choćby świat i życie były jak najgorsze, jedno z nich zostanie wiecznie dobre — młodość.

Sienkiewicz.

Nakładem uczenic Gimnazjum im. H. Kaplińskiej w Krakowie.

Red. odpow. Jadwiga Brodowiczówna.

Drukarnia D. Fadena, Myślenice. — Telef. 20.